

Dziwna podróż ku Słońcu rozdział 2 — Wierszybajka

Od autora: Ten i nadchodzące rozdziały zawsze z dedykacją dla Al-Szamanki :)
(oraz Amsy, jeśli jeszcze pamięta ;))

Rozdział 2:

Kilka słów o udrokach i wiedźmach

Ze wschodzącym Słońcem, które paliło jak ogień w rozgrzany kark przemierzałem kilometry dzielące Garędę od położonego na północ Daritanu, wkrótce pola i polany zmieniły się w zarośla, a potem las.

Wiedziałem, że na razie nie mam szans dogonić Erata, tuż za wsią zaczynała się ścieżka kręta i biegnąca pod górę.

Może i zostałem daleko w tyle, lecz bandun w końcu będzie musiał zatrzymać się na postój i odpoczynek. Poza tym do miasta, nawet przeklętym lasem, były aż trzy bite dni podróży, w sumie mogło to trwać półtorej dnia, gdyby ktoś jechał całą dobę, jednak to w wypadku siwego staruszka zdawało się niewykonalne. Co prawda bandun prędzej padnie z wyczerpania niż się zatrzyma z własnej woli, ponieważ tak posłuszną naturą obdarzone są te zwierzęta, lecz Erat był wielkim leniem i choćby dla własnego komfortu musiał przystanąć.

Nie kłopotalem się brakiem towarzystwa sąsiada. Nasza wspólna podróż skończyłaby się co najmniej jedną bójką, a tak miałem chwilę by przemyśleć wszystko na spokojnie.

Gładiel niemal nazwał mnie imieniem ojca... słyszałem już, że jestem do niego bardzo podobny. Pewnie, na mój widok ożywały wspomnienia. Byli bardzo dobrymi przyjaciółmi i cóż... gdyby nie rządca Garendy, Amala i ja mieszkalibyśmy pewnie gdzieś w przytułku, albo tułali po świecie żebrząc o kawałek chleba.

Historia mojej mamy nie należy do najszcześniejszych, choć pochodziła z dość zamożnej mieszczańskiej rodziny, była córką kupca i miała wiele siostr, została przeznaczona do roli niańki i nauczycielki. W miastach jest to częsty zwyczaj, a taka kobieta nie powinna wychodzić za męża, tym bardziej zakochać się i mieć dzieci. Rodzina na wieść o zamążpójściu po prostu się jej wyrzekła.

Słyszałem jak opowiadał wszystko naszej sąsiadce, matce Erata i Zatali:

– Jeden rok. Tyle byłem starsza, oboje byliśmy już po czasie miłosnych uniesień młodości. Mnie, jednak chciano dalej widzieć panną bawiącą cudze dziatki. Miałam zarabiać dla rodziny i siedzieć cicho. A mnie, zachciało się bachora – żaliła się z serca.

Później długo chodziłem splakany, ponieważ miałem tylko kilka lat i pomyślałem, że matka mnie nie chciała. Poszedłem nad rzekę i zanurzyłem się do pasa miałem nadzieję, że porwie mnie nurt, lecz woda była za płytka, stałem tam i beczałem jak zbłąkana owca. Zapadł wieczór i wtedy Amala przybiegła, krzycząc na mnie, że szukała przez cały dzień, ze srogim gniewem i błyskawicami w spojrzeniu zwyzywała mnie od głupców i niewdzięczników... Gdy przez łzy powiedziałem, że wiem, że mnie nie kocha bo jestem inny niż reszta dzieci, że w ogóle nie chciała mieć dzieci.. Uderzyła mnie w twarz, przestałem płakać jak ręką odjął. Uklęknęła przede mną, zimnej wodzie, w piachu i mule, chwyciła mnie za dłonie. Wplotła swoje palce pomiędzy moje, patrzyłem jej w oczy złote tęczówki badały moje zapuchnięte atramentowo-niebieskie spojrzenie.

– Mój Freht, twój ojciec miał takie same dłonie. Nie jesteś inny, nie jesteś gorszy, jesteś moim synem, moim Anzymem: „Pociechą dla serca”. Zawsze nim będziesz, to nie ważne, że oni nie chcą przyjąć twojego imienia, a dzieci ci dokuczają. Pewnego dnia zostaniesz silnym chłopcem, rycerzem jak twój tata i wszyscy zrozumieją, że się pomylili.

Potem wzięła mnie w ramiona i zaniósła do domu.

Tamtego dnia, ostatni raz byłem bezradnym dzieckiem, postanowiłem nigdy nie zranić, ani nie zawieść mojej matki. Wszystko, co robiłem i czego się uczyłem miało cieszyć jej serce. Stawałem się odważny, silny, honorowy, ale pokorny, dobroduszny, uczynny zarazem... starałem się być takim, jakim chciała mnie widzieć. Byłem niemal idealnym synem, nawet o tym nie wiedząc... i zacząłem myśleć, że jednak zraniłem Amalę wyruszając do Daritanu wbrew jej woli.

Zadumę przegoniła konieczność zebrania z ziemi tobołków, które oczywiście spadały mi z cyklówki, już na pierwszych leśnych wertepach.

Przeklinając pod nosem, pakowałem jedzenie i przywiązałem torbę pod plecakiem, aby zapobiec podobnemu wypadkowi. Obawiałem się, że moim śladem mogłyby ruszyć głodne zwierzęta.

„Może powinienem im ten nie potrzeby ciężar zostawić” - zastanawiałem się raz w myślach a raz na głos gdy torba biła mi o plecy, ale uznałem, że lepiej coś wozic niż potem o to żebrać.

Nigdy nie opuszczałem wsi samodzielnie, a w mieście byłem ledwie raz na pogrzebie babki, wtedy jechaliśmy traktem przez pięć dni, czyli cały tydzień Krainy Słońca.

Zaś Daritan jawił mi się jako tłoczne, duszne i przeludnione miejsce.

Na dodatek można było spotkać ludzi we wszystkich rozmiarach, od drobnoludzi nie większych niż długość otwartej dłoni, po olbrzymów, którzy chodząc musieli być bardzo ostrożni, aby kogoś nie nadepnąć, bo zwykli i średni ludzie wszędzie stanowili większość. Do tej pory nie wiem, dlaczego przyjęło się mawiać o moim rodzaju „zwykłoczłek”, a o karłach „ludzie średni” bo można by mówić odwrotnie, albo znaleźć inną, odpowiedniejszą nazwę, lecz debata na ten temat nie miała większego sensu. Utarte zwyczaje trudno zmienić.

Jechałem przed siebie coraz bardziej zmęczony, i choć obawiałem się wielu nieprzyjemnych przygód to nie bałem się zgubić. Miałem gwiazdomierz i nawet nocą pozwalał wyznaczyć dokładny kierunek, pytanie podróżnych o drogę było równie dobrym rozwiązaniem, a przy okazji mogłem rozmawiać o zachowaniu Słońca. Potem przypominałem sobie o tej całkowitej ciemności zapadającej rano oraz wieczorem i tym, że na szczęście zabrałem lampę. Mieszkające w niej świetliki dawały przyjemne światło o żółtawym zabarwieniu, lubiłem jego odcień i wirujące robaczki, które nie raz układały mnie do snu.

W pewnej chwili poczułem, że coś nie przyjemnie rusza mi się w kieszeni płaszcza. Sięgnąłem tam i okazało się, że nie był to żaden robak, a jeden z uroków mojej mamy. Dokładnie ten egzemplarz, którego mogłem się spodziewać.

– No i co ty tu robisz Maleńka? – zagadnąłem stworzonko, które mieściło mi się na środku dłoni.

– Pilnować mama kazała chłopca, ja pilnuję – odparła Maleńka. Westchnąłem rozczulony, udroczka była mi wierna jak piesek i słodka jak ciastko z kremem. Była ślicznym stworzonkiem, z pyszczką nieco podobnym do polnej myszki, jej ciało pokrywało futerko w jasne i ciemne paseczki, miała tylko cztery łapki, co jest pewną rzadkością i iskrzące skrzydełka, prawie takie same jak u nadwodnej ważki.

Wiecie... każdy z uroków jest inny i bardzo wyjątkowy, mogą przypominać na przykład ptaki, owady, albo jak moja Maleńka, małe gryzonie, często różne cechy łączą się i mieszają ze sobą, dlatego istnieje wielu ras... które wyglądają po prostu „cudacznie.”

Chociaż dzikie cudaczki są okropnymi szkodnikami, to te oswojone stanowią gwardię obrońców miejsca, w którym mieszkają. Nie są silne, ale liczne i uważają swoich ludzi za rodzinę, dlatego potrafią ich bronić do utraty tchu... Właściwie to Amala, zamiast uczynienia z naszej gromadki małych wojowników, uczyła ją zawsze szydełkowania, szycia i wyszywania haftów. Zaś Maleńka była najzdolniejszą uczennicą, moja mama kochała ją prawie jak córkę.

Zdarzyło mi się zażartować, że jak tak dalej pójdzie, to kiedy Maleńka „dorośnie” zostanie moją żoną. Udroczka słysząc pochwałę była ogromnie szczęśliwa i zupełnie pewna, iż stanie się tak naprawdę. Bardzo się przejęła, nawet uszyła sobie ze skrawków materiału sukieneczkę na ślub z długim welonem, potem nazbierała sobie kwiatów na bukiet i zapytała, czy może zaprosić resztę naszych uroków na wesele... po tak wielkich przygotowaniach poczynionych z jej strony, cóż mogłem zrobić? ŚmieJCie się jeśli chcecie, ale zabrakło mi serca powiedzieć tej istotce, która nie rozumiała zbyt wiele z ludzkich zwyczajów i żartów, że nie może zostać żoną człowieka.

Dlatego, dla zabawy, odprawiliśmy ceremonię, która sprowadzała się do obietnicy: „zawsze będę z tobą”. Potem udroczka przytuliła się do mojego policzka i od tej pory, przez część nocy, sypiała na obok mnie na poduszce.

Niestety dla naiwnej wiary w szczęśliwe zakończenie cudaczki żyją bardzo krótko, dwa do trzech lat, a kiedy Brat Zefilis usłyszał o tym zdarzeniu, w formie anegdoty, wyklął mnie od złych duchów.

„Wiedziałem, że z tym chłopakiem będą same problemy, wiedziałem od chwili jego narodzin, gdy zo-

baczyłem jego dłonie i stopy!”

Nie on jeden miał problem z oglądaniem moich kończyn, lecz czy byłem temu winny, że urodziłem się z szesnastoma, a nie dwudziestoma palcami, jak wszyscy zwykłoludzie?

Nie miałem przez to problemów z pisaniem i chwytaniem różnych przedmiotów, nieźle biegałem i nigdy nie narzekałem na za szerokie buty.

Jednak Erat i brat Zefilis zrobili z tego faktu problem, odbierający kawałek szczęścia mojemu dzieciństwu.

„Nigdy nie dostaniesz imienia. Nie zostaniesz nikim ważnym, nie będziesz miał żony. Jesteś kaleką nie masz palców” - wołał za mną, syn sąsiada, gdy tylko pojawiałem się w jego polu widzenia.

Szybko podchwyciły to inne dzieci i długo mi dokuczały. Wszystkie pewnego dnia z tego wyrosły, no oprócz... Erata.

Wciąż go mierziło, że bezimienny chłopak ma tylko po cztery zakończenia u dłoni i stóp.

Niejeden raz znajdowałem palce, przeróżnych zwierząt na progu domu z kartką: „Przyszyj sobie”, albo „Zrób to wreszcie”, a następnie musiałem tłumaczyć, rozwścieczonym właścicielom, że to nie ja okaleczyłem ich stworzenia.

Do świątyni, patrona naszej wsi, Tamarynda też nie mogłem wchodzić jak normalne dziecko, za każdym razem musiałem przejść rytuał „oczyszczenia”. Polegający na dziesięciokrotnym obmyciu się w fontannie przed świątynią. Wszystkich to dziwiło, a już najbardziej moją matkę. Bo ceremoniał w normalnych okolicznościach przejść musieli jedynie chłopcy podejrzani o znęcanie się i zabijanie oswojonych mówiących stworzeń... prawdopodobnie ktoś powiedział Zefilisowi o „paluszkowych” dowcipach Erata. Brat zrozumiał, jak mu pasowało i dostawałem za sąsiada.

Inną przyczyną przeprowadzania oczyszczenia był stały kontakt ze złymi duchami i dzięki temu prawie cała Garendą podejrzewała mnie o jakieś konszachty ze złem.

Przysięgam, dla pełnej jasności, po dziś dzień, nigdy nie zabiłem żadnego stworzenia dla zabawy, ani nie rozjuszałem specjalnie złych mocy... niestety przypadki chodzą po ludziach.

Maleńka umościła się na moim ramieniu i przez paluszki swoich łapek obserwowała razem ze mną krajobrazy. Udutki nie lubią jasnego światła, ponieważ ich oczka lepiej widzą w półmroku. Las robił się coraz ciemniejszy, Słońce choć ostre przestało piąć się w górę i podobnie jak wczoraj o południu zawisło nad ziemią jakby w pół drogi zmieniło zdanie. Słuchałem cichego chrobotliwego śpiewu udrotki, który dodawał mi nieco siły i nadawał rytm jazdy. Pozdrawiałem ludzi na wozach, których im głębszy i bardziej cienisty stawał się bór było mniej. Ścieżki rozwidlały się prowadząc do wielu wsi i małych miasteczek, ostrożnie wybierałem tę właściwą zwykle najszerszą dróżkę, która czasami zmieniała się w gościniec, a czasami niemal zniknęła w gęstwinie.

Gdy Słońce zaczęło opadać, byłem kompletnie wykończony i uznałem, że za chwilę będę musiał zatrzymać się na porządną odpoczynek i coś zjeść.

Erata nadal nie dogoniłem i zacząłem wątpić, że mam na to większe szanse. Wtem jednak na poboczu dostrzegłem jego banduna. Zwierz leżał nieprzytomny, pomyślałem, że spełniły się moje ciche zapowiedzi. Głupi chłopak przyczynił się do przedwczesnej śmierci stworzenia.

Westchnąłem ciężko i zsiadłem z cyklówki, podprowadziłem ją do ciała czworonoga, Maleńka już latała wokół niego wołając: „Chłopiec mój, niech da pić, bandun biedny, on słaby jest, on za szybko biegł.”

Otwarłem dzbanek z wodą i pochyliłem się nad nieszczęsnym stworzeniem, udrocza miała rację jeszcze żył. Z wolna wlewałem mu do pyska wodę, którą łapczywie połykał. Myślałem, że bezmyślny Erat idzie teraz pieszo, albo wsiadł do kogoś na wóz i najzwyczajniej porzucił siwego staruszka. Pomyliłem się, jednak był szczwany, tuż nad uchem zadźwięczał się jego donośny, szyderczy śmiech. Mocno pchnął mnie do przodu, prawie upadłem na biednego banduna. Ratując się rękami i nogami, przeokoziółkowałem nad nim i zostałem pociągnięty przez torby do przodu, z impetem wpadłem plecami na drzewo. Bagaż nieco mnie z amortyzował i zobaczyłem, do góry nogami, jak Erat wsiada na moją cyklówkę, wykonuje wulgarny gest i krzyczy: „Kaleka!”

Nawet gdybym mógł w tamtej chwili za nim pobiec, to siły zebranej w całej złości i gniewie jakiego doświadczyłem nadal zabrakłoby na nierówną gonitwę.

– Idiota przeklęty, zaraza gletrowa, on jest gorszy od muchum i ludzioniów razem wziętych. Niech by go Tamaryndan kurzawkami i łysina pokarał! – warczałem głośno, zbierając się niezgrabnie do pionu. Przystałem wyklinać i walić pięściami w najbliższy pień kilka cykli (czyli minut) później, gdy zabrakło mi przekleństw we wszystkich znanych językach.

– Ale mój chłopiec ma szczęście – chichotała Maleńka, widząc jak znowu osuwam się na ziemię. Zwisła w powietrzu, przed moim nosem, z chytrym wyrazem na pyszczku.

– Szczęście, Maleńka?! To się nazywa pech! Niech by go pochłonęły otchłanie piekielne albo zeżarły gromole!

– Nie, mój chłopiec ma szczęście, bo ma mnie. A tam o, leży list. – Pokazała na ścieżkę. – Ja go Eratowi zabrałam, bo z kieszeni wystawał, Amala mówiła, że list ważny. Nie widział, a teraz głupi Erat do miasta nie wejdzie bez ciebie.

Rzeczywiście na drodze leżały zapieczętowane karty sporządzone przez wu Gladiela.

– Ha, Maleńka, ty jesteś wielka! – powiedziałem ze śmiechem i pomyślałem ze zdumieniem: „Cóż ja bym dał, żeby pewnego dnia znaleźć i poślubić ludzką kobietę taką jak ty... to znaczy z charakteru...”

– Wiem, ja dla ciebie wszystko zrobię – odpowiedziała zarumieniona, pasowało to zarówno do moich słów jak i myśli. Pogłaskałem ją opuszkami palców po łebku.

– Niestety, zanim wykonamy zadanie będziemy musieli znaleźć kogoś, kto nas podwiezie. Nie zostawię tak tego biedaka – mruknąłem, spojrzałem w stronę banduna i podszedłem zabrać nieco ubrudzone papiery. Na moje szczęście pieczęci były całe.

Muszę wam powiedzieć, że nigdy nie żałowałem trzech nieprzespanych nocy, które poświęciłem na rato-

wanie życia Maleńkiej. Dwie zimy wcześniej Amala znalazła niemal zamarzniętą udroczkę w śnieżnej zaspie. Ktoś chciał ją zabić biorąc za niczyją, uznał za dziką bestyjkę, albo trafiła na potężną zamieć. Biedaczka nie pamiętała jak znalazła się poza swoim domem, ale całkiem nieźle знаła ludzki język i prosiła o pomoc. Miała połamane skrzydełka i łapki. Być może właśnie wtedy straciła kilka kończyn, bo jej bracia miewają ich po osiem, a nawet dziesięć.

Po opatrzeniu ran, na zmianę z mamą wyczekiwaliśmy kolejnego oddechu śpiącej Maleńkiej, a gdy przetrwała najgorsze.

Najtrudniejszym momentem po ponad tygodniowej kuracji, okazało się przekonanie pozostałych domowych cudaczków, że „tycia obca”, wcale nie jest „dzikuską” i mają ją traktować jak siostrę. Do tej pory chce mi się śmiać na wspomnienie twardych, nieufnych spojrzeń na rudych pyszczkach „wielkich obrońców”. Gromadka Amali była naprawdę zgraną, barwną rodziną o cechach lisów i motyli. Maleńka wyglądała przy nich jak zwykła szara myszka... zaś nasz wspomniany „niby ślub” nastąpił niedługo później. Mniej więcej w tym samym czasie, gdy straciłem wiarę w dziewczęta. Dlaczego? W tym miejscu i na tę chwilę wystarczy jedno słowo... właściwie imię: Destrofia (piękna i dumna).

Potrząsnąłem lampą, by obudzić świetliki, ani się obejrzałem, a okropna ciemność już przejmowała kontrolę nad światem. Szybko mijały chwile, pewnie nawet przysnąłem, bo bezsensowna gonitwa z obciążoną cyklówką odebrała mi wiele siły. Tyle było dobrego, że bandun zdawał się czuć coraz lepiej, oparł mi głowę na kolanach i pozwolił się nakarmić kawałkiem suszonego mięsa. Maleńka żuła kawałek gotowanego jaja, a ja bazelowe jabłko o gumowatej konsystencji i cierpkim smaku. Czekaliśmy, aż ktoś pojawi się na drodze, więc rozmawiałem z Maleńką o dziwnych zdarzeniach na niebie, bała się ich.

– Gdy Słońca braknie, braknie jedzenia, roślinki muszą mieć Słońce – mówiła z przejęciem. – Niepokój wielki zapanuje i zimno się zrobi, i zamarznie wszystko.

Tłumaczyła mi, a ja przytakiwałem, zastanawiając się skąd Maleńka może wiedzieć jakie są konsekwencje braku światła i ciepła. Znad Gór weszła Luna, złotawe oko nocnej pani, poprawiło mi nastrój, a rozbłyskujące jedna po drugiej gwiazdy świadczyły o tym, że świat się jeszcze nie kończy. Przez chwilę miałem nawet nadzieję, że Erat zauważy brak listów i wróci, ale tak się nie stało.

Ja sam obawiałem się o los Krainy Słońca, dzikiego lasu za i przede mną: czyli zbójców oraz zwierzyny, ale tego co mnie spotkało nie przewidziałem nawet w złych snach.

Maleńka zerwała się z mojego ramienia i podfrunęła, dopiero wtedy dostrzegłem światło na horyzoncie. Droga jechał duży, drewniany wóz, obciążony płótnem. Ciągnęło go zazo, na koźle siedziała kobieta, a obok niej bujała się klatka z barwnym ptakiem, z gatunku który nazywaliśmy dadok czyli „gadacz”, lecz była to po prostu papuga. Ptak miał fioletowo-czerwone pióra, a jego właścicielka była ubrana w jasne, skąpy strój. Zrozumiałem, że jest cudzoziemką jeszcze zanim dokładnie ją zobaczyłem. Razem ze swoją papugą śpiewała na cały głos z obcym akcentem: „Dziewko kołysz bioderkami, pokaż kibić cudną, zabaw nas, a zarobisz suto”. Nie byłem w stanie powiedzieć, które z nich bardziej fałszowało (kobieta, czy ptak). Owa kobieta miała ciemną karnację długie falujące włosy i wydatne piersi. Nie była młodką, ale również nie przekroczyła jeszcze granicy wieku średniego. Miała nieco ostre rysy twarzy i jakby w odruchu uniosła wysoko głowę.

Udrocзка schowała się do mojej kieszeni burcząc, że nie podoba się jej ta podróżna. Ja poczułem się za-hipnotyzowany, przez spojrzenie fioletowych oczu.

Gdy pomachałem ręką podróżna zatrzymała się i zamilkła na chwilę. Zostałem prześwietlony i oceniony od stóp do głów, ledwie jednym ruchem gałek ocznych.

– Wygląda na to, że zajechałeś sobie zwierzę, czy nie widziałeś, że ten bandun już nie nadaje się do jazdy? – prychnęła oskarżycielko ze zmarszczonymi brwiami, zanim zdążyłem się uwolnić spod jej wzroku.

– Jeśli pozwolisz wyjaśnić fa... to znaczy, „duko” – zająknąłem się próbując, znaleźć język w gębie i użyć określenia w mowie Wasowi, znaczącego tyle samo co w naszym „fa” (albo dobra pani). Uczyniłem to tak niezdarnie, bo zdawało mi się, że właśnie w tamtym rozległym kraju mieszkają ludzie o ciemno oliwkowej cerze... pomyliłem się.

– Zgadza się chłopcze jestem Faduka, widocznie moja sława jest już szybsza ode mnie. – Nie zrozumiała i przerwała mi ze śmiechem. – Jednak jesteś coś warty, skoro o mnie słyszałeś. Gdzie chciałeś dotrzeć?

Dobre duchy, nie miałem pojęcia, kim była ta kobieta! Gdybym wiedział do tej pory kurzyłoby się za mną, a Wielkie Góry pokonałbym jednym w mgnieniu oka.

– Do Daritanu – odparłem z zakłopotanym uśmiechem i młodzieńczym rumieńcem.

– A po co?

– Zapytać, o to co stało się z dniem i czym jest ciemność.

– Uuu... to wsiadaj, bo jedziemy w tę samą stronę, z tym samym celem... zapłacisz mi na miejscu.

– Ja nie chce tego na wozie – odezwało się z protestem zazo. – Ty, młode nie wsiadaj! – zwróciło się do mnie, jakby chciało ostrzec.

Pomyślałem, że już po podwózce, jeśli zazo nie zamierzało czegoś zrobić z własnej woli, można się było od razu pożegnać.

– Coś ty powiedziało?! – wrzasnęła kobieta na zielonego byka.

– Powiedziałam: nie.

Faduka zasadziła solidnego kopniaka w zad stworzenia, całe zadrżało z bólu.

– Pytam, coś powiedziało?

– Nic, cioteczko, nic nie mówiłam.

– No – prychnęła kobieta. – Oj, zobaczysz następnym razem gwiazdki, przebrzydła kreaturo ty. Ja cię nauczę posłuszeństwa – wyklinała i pomstowała wiedźma.

Stałem z otwartymi ustami, bo jeszcze nie widziałem, żeby zielony byk pozwalał się tak traktować. Normalnie spodziewałbym się zrzucenia z uprzęży i wzięcia woźnicy na rogi. Kiedy Faduka zajmowała się

zazo, jej ptak pomachał do mnie jednym skrzydłem i zaczął pokazywać coś w powietrzu. Nie od razu zrozumiałem, że znaki były literami, bo nie przyszło mi do głowy, iż papuga potrafiłaby pisać.

Faduka zwróciła się ponownie w moja stronę, dadok znieruchomiał i zdołałem rozpoznać tylko cztery litery „M”, „O”, „C”, „Y”.

– Nie stój jak ten niewyprany frin. Ruszaj się i zapakujemy banduna na wóz – rzuciła słowem i zeskokczyła z kozła.

Zanim przemyślałem całą sytuację i choć miałem wszystkie wskazówki w zasięgu ręki... Przenieśliśmy, staruszka, zostawiłem swoje torby obok niego i razem z Faduką usiadłem z przodu. Falujące piersi kobiety przyciągały mnie jak magnes. Byłem w końcu młody i nieobojętny na damskie wdzięki.

– No to ja ci na imię? – zapytała.

– Cóż... ja... ja jestem Anzym – powiedziałem z wahaniem w głosie.

Nie chciałem, aby przez brak imienia Faduka potraktowała mnie jak zwierzę, bo właśnie zobaczyłem czym są dla niej istoty niższe... Dziś nie jest mi dziwne, że zazo i dadok wołały o „pomoc”.

A cóż ja uczyniłem by narazić się wszechmocnej pani?... W końcu „Anzym” to było moje imię. Miałem je oficjalnie otrzymać, zaraz po powrocie do domu. Nie wiedziałem, że trafiłem na kogoś, kto brzydzi się kłamstwem pod każdą jego postacią. Nie wiedziałem też, że potrafi je poznać, tak dobrze, jak wy poznaście wasze matki. A w jej oczach okazałem się kłamcą, bo nie wierzyłem, że to imię należy do mnie. Ruszyliśmy, a zazo prychało niezadowolone z dodatkowego ciężaru.

– Ciekawe, bardzo, ciekawe – wymruczała wtedy Faduka, przyglądając się moim dłoniom. Poczułem się zdenerwowany jej spostrzegawczością, że od razu odkryła mój defekt. Przez chwilę myślałem, że mam szansę poznać bliżej kobietę, której wygląd mnie zafascynował... i dziś nie żałuję porażki w tym zakresie.

– Widzę, że brakuje ci czegoś. Czy jest ci przez to źle? – zapytała, była kolejną osobą jakby czytającą w moich myślach.

Zacisnąłem lekko pięści i ledwie powstrzymałem się przed schowaniem rąk w kieszenie.

– To nic takiego pani Faduko, taki się urodziłem. – Odwróciłem dumnie twarz.

– To cecha rodzinna, miałem, co prawda przez nią przykrości w dzieciństwie, ale jak widać nie jestem złym duchem, tylko chłopakiem ze wsi.

– Tak też myślałam, więc dlaczego taki „zwykły” chłopak ze wsi jedzie do miasta?

– Jestem kurierem, mam zanieść list z zapytaniem o zachowanie Słońca, to wszystko.

Po chwili rozmowy kobieta zaproponowała mi wino z jagożyn, odmówiłem i zacząłem ją wypytывать o powód, dla którego samotnie podróżuje niebezpieczną ścieżką. Wtedy wskazała na mój miecz i powiedziała, że ma znacznie lepszą broń. Przestraszyłem się nieco i chwyciłem rękojeść orężu. Zachęcona popijanym winem Faduka, zamiast rzucić się na mnie i uśmiercić naiwnego chłopca, zaczęła opowiadać własną historię. O tym jak od wielu lat poszukuje prawdy, chciałaby się dowiedzieć, dlaczego Słońce

umiera, co znajduje się za Wielkimi Górami i poznać przyczynę wiecznych mrozów na Dalekiej Północy. Podróżowała do Daritanu z powodu najstarszej znanej biblioteki i nie śpieszyła się zaniechać dopóki nie pojawiły się znaki, a teraz musi spróbować odnaleźć tysiącletnie księgi opisujące krąg historii naszego Świata. Przy czym upierała się, jakoby kiedyś znalazła przejście do innego wymiaru i tam dowiedziała się, że poznanie największej prawdy o istnieniu jest jej przeznaczeniem.

– Też chciałbym wiedzieć, o takich rzeczach – rzekłem zaciekawiony tajemnicami Północy, z której pochodził mój rodzic. Zadowolony, że cudownym trafem znalazłem osobę, która może rozwikłać tajemnicę niezwykłych ciemności, przyjąłem zaproponowany po raz drugi napitek. Szybko przekonałem się o jego mocy, tak więc opowiadałem, o sobie i problemach z dzieciństwa, o mojej matce, że jest nauczycielką języków w naszej wsi, dlatego znam mowę wielu zwierząt i kilka dialektów obcych krain. O moim ojcu, który był rycerzem i że ja też niedługo nim zostanę.

– To wręcz idealnie, moje dziecię – powiedziała, gdy zakończyłem ledwie panując nad swoim językiem. Zamroczony alkoholem poczułem na głowie jej dłoń i nie było to dobre uczucie.

Lecz moi drodzy słuchacze, to na dzisiaj wszystko...

Tu urywa się część opowieści, którą przez długie lata uważałam za najbardziej wiarygodną.

Gdy zapadła ciemność staruszek podniósł się z wygodnego fotela. Nieco zachrypniętym głosem pożegnał zawiedzioną i zasluchaną gromadkę, bo najciekawsze, było dopiero przed nimi. Obiecał kontynuować przygodę następnego dnia.

Jako prosty, nadworny skryba zmuszony jestem powiedzieć od siebie kilka słów wyjaśnienia.

Z pewnością staruszek, który swe życie poświęcił podróży, jeszcze tego samego wieczoru w snach powrócił do wspomnień, lecz już nie otworzył oczu i nie dotrzymał obietnicy. Na szczęście nadal były jego dzieci i wnuki, które wkrótce chętnie podzieliły się ze mną fantastycznymi przeżyciami dziadka. Przez wiele lat nie dawałem im wiary, myśląc o wybujałej wyobraźni młodych i przeinaczonych wersjach wydarzeń. Dlatego powstrzymywałem się przed przelaniem wszystkiego na papier. Bawiła mnie myśl o istnieniu, wszystkich dziwnych stworzeń i zjawisk, opisanych przez dziadka, w świecie, w którym wyobraźnia miesza się z rzeczywistością, a wiele praw przyrody nie podlega prawom fizyki i logiki. Ponieważ Anzym mógł, oczywiście chorować na demencję starczą i sam dodawał koloru nieco nudnemu bajaniu.

Lecz dziś, spisując te słowa, czuję się częścią tamtego świata. Wbrew swojemu pierwszemu osądowi przyznaję, że zbyt wiele widziałem na własne oczy, by po raz kolejny przejść obojętnie obok prawdy. Ostatnie wydarzenia dały mi do rozgryzienia pewną zagadkę... i godząc się z ostatnią wolą Anzyma don'Krala mam wrażenie, jakbym ja sam przeżywał tę przedziwną przygodę.

Perro P.

CDN.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Wierszybajka, dodano 19.07.2014 07:21

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.